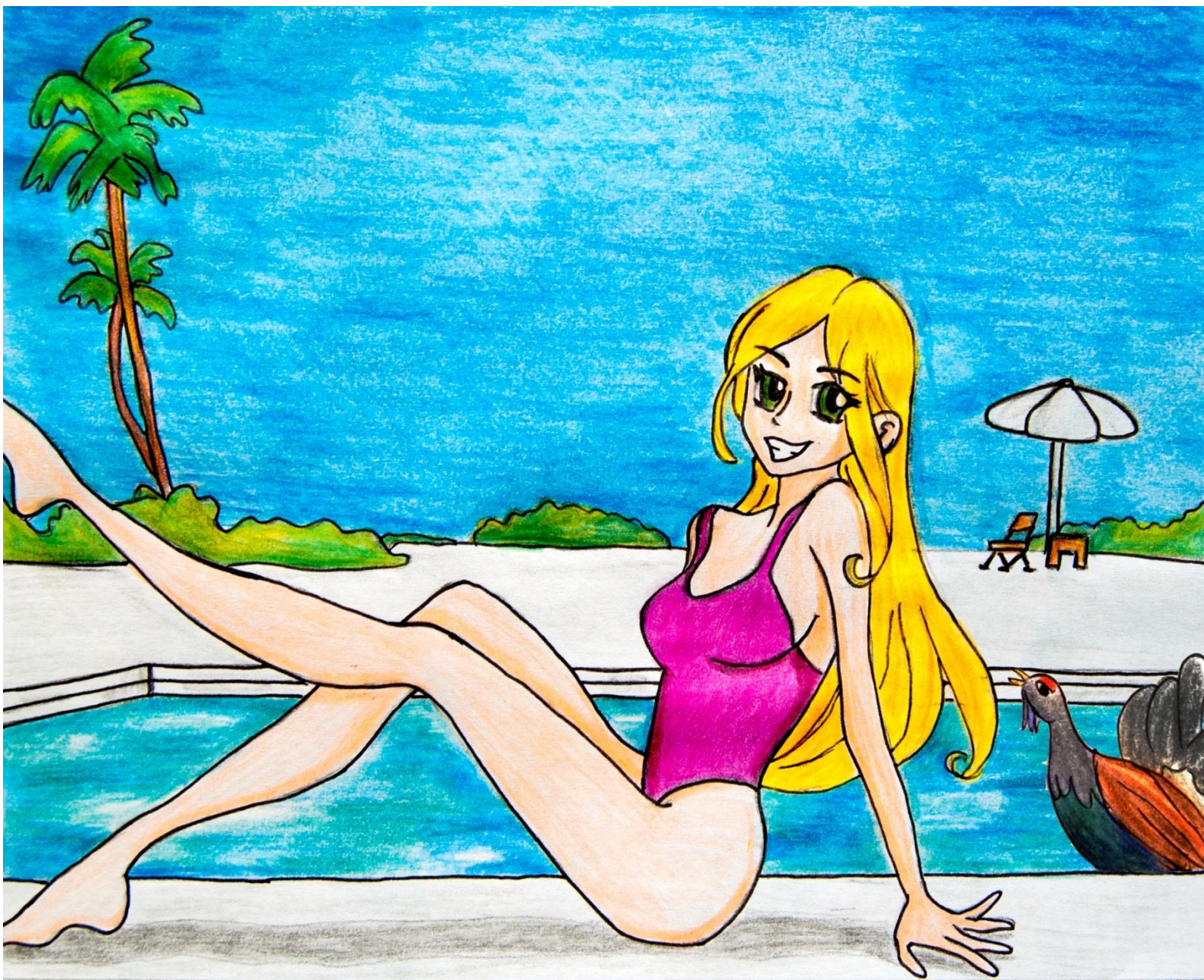


# MŁODNIK

Niezależna Gazeta Studentów Leśnictwa UP



**SPECJALNE WYDANIE WAKACYJNE**



P/N: 166 7802 84178 87401790033

<b>Wstępniak</b>	3
Podróż mojego życia?	4
Od gejzerów, przez kanion, po wapienne tarasy (Yellowstone USA)	8
Witajcie w Wenecji!	13
Republika aż do nieba i sowiecki klimat, czyli witamy w Kirgistanie	17
Smaki świata	25
<b>Poza lasem</b>	13
Teksty znane i nieznane	31
Płyty znane i nieznane	35
O polskich wynalazcach i odkrywcach	36
<b>Kultura i rozrywka</b>	
Horoskop wróżki Gertrudy	39

### REDAKCJA

#### Redaktor naczelny

Joanna Skonieczna

#### Opiekun

Dr inż. Bartosz Bułaj

#### Skład

Marek Piłaszewicz

#### Grafika

Olga Rojek

#### Zespół Redakcyjny

Agata Drabarek, Paulina Milanowska, Agnieszka Nawrot, Michał Procner, Katarzyna Strzymińska

#### WWW

<http://www.up.poznan.pl/mlodnik>

#### E-mail

[mlodnik.redakcja@gmail.com](mailto:mlodnik.redakcja@gmail.com)





## Krótki Wstępniak Wakacyjny

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Młodnika” życzę udanych wakacji. Tym, którzy pracują życzę pełnych portfeli i satysfakcji z wykonanych zadań. Tym, którzy wypoczywają życzę pięknej pogody, ciekawych miejsc i ludzi. Najważniejsze jednakże, abyśmy wszyscy we wrześniu i październiku nie mieli poczucia zmarnowanego czasu, bo jak ktoś kiedyś powiedział „Jeśli nie idziesz gdy chcesz iść, to gdy idziesz już cię nie ma”.

Tymczasem ☺

**BB**



Fot. RWB

## Podróż mojego życia?

Czy to było wtedy, kiedy mnie, trzyletniego brzdąca rodzice zabrali w podróż z Grudziądza (gdzie mieszkaliśmy) do Gdyni? Do dziś pamiętam wrażenie, jakie na mnie zrobił gwar tego miasta, morze, okręty i żaglowce stojące w porcie.

A może to było wtedy, kiedy po skończeniu drugiej klasy podstawówki wyjechałem na wakacje do zaprzyjaźnionego z ojcem rybaka, mieszkającego na Pojezierzu Brodnickim? Przez całe dwa miesiące pomagałem zastawiać żaki, sznury na węgorze, ciągnąć sieci, smołować drewniane łodzie. Naszym rewirem były dwa piękne jeziora, połączone czystą rzeczką, w której królowały raki i miętusy, czatujące w poplątanych korzeniach przybrzeżnych drzew, spośród których można je było, przy odrobinie zręczności wydobyć.

Mogło to być również wtedy, kiedy już jako licealista po raz pierwszy wyjechałem w góry - na obóz wędrowny po Bieszczadach, Pieninach i Tatrach. Bukowe lasy, połoniny, „przelewające się” po halach stada białych owiec, rozhukane potoki, noclegi w pasterskich szałasach, góralska gwara i muzyka, a nade wszystko wspaniałe uczucie spoglądania na świat z góry, ze zdobytych szczytów i namacalne poczucie bliskości nieba!

W czasie studiów zaczęły się wyjazdy zagraniczne – najpierw NRD, potem pierwszy wyjazd „na zachód”, do Finlandii. Po miesiącu pracy przy eksperymentalnych pomiarach drzew stojących, w lasach należących do firmy NOKIA (znanej dziś głównie z telefonii komórkowej), wybrałem się w podróż autostopem do Rovaniemi, leżącego na kole polarnym. Z okien ciężarówek transportujących drewno podziwiałem krajobraz zdominowany przez lesiste wzgórza i jeziora, a dalej na północy przez niekończące się bagna, od których kraj ten wzięł swoją fińską nazwę Suomi. Ja byłem zaskoczony powszechnym dobrobytem, Finowie zaś oglądali się za moją czarną czupryną, a panie mdlały z wrażenia, kiedy całowałem je naszym zwyczajem w rękę. Za zaoszczędzone pieniądze kupiłem magnetofon i niebieskie dżinsy, które młodzi ludzie w Leningradzie (gdzie miałem przerwę w podróży) byli gotowi ściągnąć ze mnie na ulicy, płacąc za nie bajorńskie sumy.

Potem (w latach siedemdziesiątych) było sporo innych podróży po Europie, zazwyczaj autostopem lub osobowymi pociągami drugiej klasy. Wreszcie wyjazd na pierwszy długoterminowy (prawie roczny) staż naukowy do Fryburga Bryzgowijskiego w Niemczech (blisko granicy ze Szwajcarią i Francją). Taki dłuższy pobyt pozwala poznać dobrze język, codzienną kulturę, zwyczaje, zaprzyjaźnić się z ciekawymi ludźmi.

Badeńscy okazali się w ogóle bardzo sympatyczni, życzliwi, wyluzowani – inni niż mieszkańcy Brandenburgii czy Saksonii, których znałem dotychczas. Pamiętam, że wielki zegar na głównej ulicy Fryburga spóźniał się o kilkanaście minut przez ponad trzy tygodnie i nikomu to jakoś nie przeszkadzało. Na północy Niemiec nie do pomyślenia. Podobało mi się w tym Fryburgu i poważnie się zastanawiałem, czy nie zostać tam dłużej, ale to był czas „Solidarności” i latem 1981 roku wróciłem, żeby budować nową, sprawiedliwą Polskę.

Później był stan wojenny i o podróżach trzeba było zapomnieć. Kilka razy odmawiano mi wydania paszportu. Potem przyszła „odwilż” i w 1984 roku udało mi się zdobyć półroczne stypendium na wyjazd do USA. I to chyba była dotychczas największa przygoda mojego życia. Dziewięć godzin lotu nad Atlantykiem, dwa dni w Nowym Yorku, potem dwumiesięczny pracowity pobyt w Minnesocie, a następnie trzy miesiące w laboratoriach University of California w Berkeley. Z jednego do drugiego miejsca przemieszczałem się w sposób dość nietypowy. Po dłuższych namowach fundacja, która finansowała mój pobyt, zgodziła się mianowicie na zamianę biletu lotniczego z Minneapolis-St. Paul do Berkeley na miesięczny bilet upoważniający do podróżowania po całej Ameryce Północnej liniami Greyhound. Postanowiłem to dobrze wykorzystać.





Najpierw odwiedziłem znajomych w Toronto, wśród których był między innymi absolwent naszego Wydziału, pracujący przy zarządzaniu kanadyjskich lasów. Opowiadał, że helikopter zrzuca ich drużynę taksacyjną, wraz z łodzią, sprzętem, bronią i zapasami w upatrzonym rejonie tajgi i po trzech miesiącach przylatuje po nich w umówione miejsce. Prawdziwa szkoła przeżycia. Nie wiadomo czy się bać, czy zazdrościć, słuchając tego.

Święta Bożego Narodzenia postanowiłem spędzić u krewnych na Florydzie. Podróż z Toronto do Tampere, z przerwą w Waszyngtonie, trwała cztery dni. Jadąc tak z północy na południe mogłem zaobserwować jak szybko wydłuża się dzień, który w Tampere był o kilka godzin dłuższy niż w Toronto. Do tego dramatyczna zmiana klimatu – w Toronto trzaskający mróz, a w Tampere upały. Idąc na mszę pasterską o północy byłem spocony, mimo lekkiej odzieży. W pierwszy dzień Świąt wyszedłem rano pobiegać i na śniadanie wróciłem dość późno (bo musiałem się przecież napatrzyć na wiszące na drzewach cytryny i pomarańcze), czym wprowadziłem domowników w zakłopotanie. Okazało się, że „u nich” nie wigilia, ale właśnie świąteczne śniadanie jest najważniejsze. Było oczywiście zwiedzanie Disney World, Cape Canaveral, rafy koralowej i Everglades National Park – z potężnymi cypryśnikami błotnymi, egzotycznymi ptakami i aligatorami.

Trasę do Kalifornii zaplanowałem też głównie pod kątem amerykańskich



parków narodowych: PetrifiedForest N. P., PaintedDesert N. P. i Grand Canyon N. P.. Zwiedziłem też San Antonio i Las Vegas. Dużo by opowiadać.

Już będąc w Kalifornii wybrałem się statkiem na podglądanie przepływających tam, jak co roku, wielorybów. Pogoda była niestety wyjątkowo kiepska i niewiele udało się zobaczyć. Natomiast niezapomniane wrażenie zrobiły na mnie drzewostany sekwoi olbrzymiej w MariposeGrove i sekwoi wiecznie zielonej w Rockefeller Grove. Ten ostatni z osobnikami około 10m pierśnicy i wysokości około 100m, z zapasem na 1ha rzędu 20 000m<sup>3</sup>. Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył. Spośród wszystkich parków narodowych, jakie odwiedziłem w Ameryce Północnej najbardziej podobał mi się Yosemite N. P., głównie ze względu na potężne i przepiękne wodospady.

Po zakończeniu pobytu w Berkeley odbyłem jeszcze dwutygodniową podróż do Nowego Yorku, przez Corvalis, Seattle, Vancouver, Yellowstone N. P. i Montreal, także autobusem linii Greyhound. Mogłem nimi jeździć dzień i noc, wsiadać i wysiadać gdzie tylko chciałem. W autokarach był luz, tak że zazwyczaj miałem dla siebie dwa siedzenia, na których mogłem się wyciągnąć. Na dworcach były postoje, podczas których można było skorzystać z toalet i się odświeżyć. Co jakiś czas nocowałem w motelu, ale bez przesady mogę powiedzieć, że w czasie tych kilku tygodni spędzonych w podróży dookoła Ameryki Północnej Greyhound był moim domem. Zresztą nie tylko dla mnie. W czasie tej podróży mogłem zaobserwować jak różnorodny etnicznie jest ten kontynent – jankesi, afroamerykanie, metysi, Indianie, Meksykanie, azjaci; zmieniające się stroje i dialekty. Wszystko to bardzo barwne i pouczające. A za oknami autokaru tysiące mil niezwykle, niezapomnianych krajobrazów.

Do Warszawy przyleciałem 1 maja, ale na pochód nie poszedłem. Potem przyszedł rok 1989 – demokratyczny przełom. Teraz podróżuję częściej niż kiedyś – swoim samochodem, ekspresowymi pociągami, samolotami – daleko i blisko. Podróżowanie spowszechniało, wrażenia się zacierają, ulatują. W pamięci pozostają jednak podróże, podczas których, chciwie i namiętnie, odkrywało się świat – ten tuż za progiem i ten za morzami, za górami. I to były właśnie podróże mojego życia.

Jerzy Modrzyński

Poznań, 2 sierpnia 2012r.

## Od gejzerów, przez kanion, po wapienne tarasy

Będąc na trzecim roku studiów omawialiśmy na zajęciach z ochrony przyrody m.in. parki narodowe (głównie znajdujące się w Polsce), a także opisywaliśmy walory przyrodnicze innych państw. Nie sposób było ominąć najstarszy park narodowy na świecie, znajdujący się w Stanach Zjednoczonych. Moim cichym marzeniem było odwiedzenie tego miejsca; nie przypuszczałam, że spełni się tak szybko...

Yellowstone National Park, bo o nim mowa, został założony 1 marca 1872r. Obejmuje powierzchnię ok. 9000 km<sup>2</sup> (dla porównania – największy park narodowy w Polsce [Biebrzański] występuje na 592 km<sup>2</sup>!). Nazwa pochodzi od koloru skał kanionu Yellowstone (*yellow* – żółty; *stone* – kamień). Park zachwyca bogatą paletą barw, niesamowitymi kształtami skał oraz nieprzeciętnymi zjawiskami termalnymi.

Za wejście do parku narodowego należy zapłacić – wysokość opłaty uzależniona jest od pojazdu, jakim porusza się turysta. Zdecydowana większość korzysta oczywiście z samochodu, ponieważ trudno jest dojechać innym środkiem lokomocji do głównych atrakcji turystycznych oddalonych od siebie nawet o 99 km. Po przekroczeniu bramy parku witają przyjezdnych wysokie



wzgórza porośnięte borem (dominującym gatunkiem jest tutaj sosna wydmowa *Pinus contorta*) na przemian z dużymi obszarami powalonych, spalonych drzew będącymi skutkiem wielkiego pożaru z 1988r., który pochłonął 1/3 parku. Polityka parku przyzwala tu na naturalne, kontrolowane pożary (większość z nich powstaje od uderzenia pioruna), ponieważ są one wręcz niezbędne do kiełkowania niektórych gatunków roślin (tzw. pirofitów), a także powodują odnawianie drzewostanu.





Nocleg na terenie parku możliwy jest w specjalnie wyznaczonych miejscach. Lokum stanowią proste domki znajdujące się w lesie, w których nie ma zbędnych technologii XXI w. przeszkadzających w bytowaniu z naturą, takich jak: telewizor, radio, Internet czy też zasięg. Może brzmi to dla niektórych strasznie, ale tak naprawdę nie ma tu czasu na korzystanie z elektroniki – tak dużo jest niepowtarzalnych rzeczy do zobaczenia...

W Yellowstone N.P. spędziłam intensywne 4 dni – jest to oczywiście zdecydowanie za mało, aby poznać wszystkie zakątki parku, który został utworzony głównie z myślą o ochronie gejzerów i gorących źródeł. Od nich więc zaczęłam swoją małą przygodę z najstarszym parkiem narodowym na świecie.



Najsłynniejszym i najbardziej podziwianym (ale nie najwyższym!) spośród gejzerów jest Old Faithful, który jest najbardziej regularnie wybuchającym gejzerem w Yellowstone. Czas pomiędzy erupcjami waha się od 60 do 90 minut – zależy on od długości poprzedniej. Jedna erupcja trwa 1-5 minut (im krótsza, tym szybciej nastąpi kolejna) i wyrzuca ok. 25 tys.

litrów gorącej wody na wysokość do 60m. Czas do następnej erupcji odmierza wielki zegar. Im bliżej kolejnego wybuchu, tym coraz więcej tłumu gromadzi się na specjalnie przygotowanych ławkach, cierpliwie czekając na ten krótki, przygotowany przez naturę spektakl. W wielu miejscach w parku stoją tabliczki z ostrzeżeniami o cienkiej skorupie ziemskiej i o tym, że nie należy schodzić z wyznaczonych szlaków i drewnianych pomostów, pozwalających turystom bezpiecznie oglądać kipiące kociołki.

Kolejnym etapem poznawania Yellowstone był Fountain Paint Pot, bogaty w liczne wulkany błotne i fumarole. Jest to całkiem inny rodzaj gejzerowego krajobrazu, ponieważ cały teren „pachnie” siarką, na skutek rozpuszczania skalnego podłoża przez





obecny tam kwas siarkowy. Bardzo często widoczne są martwe pnie sosen, które niestety nie przeżyły gotowania w gorącej wodzie. Można powiedzieć, że jest to zupełnie odmienne miejsce gejzerowego spektrum wizualnego odwiedzanych wcześniej mieniących się kolorami baseników występujących w otoczeniu Old Faithful, które swoją barwę zawdzięczają termofilnym bakteriom mogącym żyć w wodzie o temperaturze przekraczającej 70°C.



Drugiego dnia postanowiłam pospacerować po Grand Canyon of the Yellowstone. Kanion ten powstał podczas wielkiej erupcji wulkanu 600 tys. lat temu. Obecnie przepływa przez niego rzeka Yellowstone, tworząca przepiękne wodospady: Upper Falls i Lower Falls. Niesamowite widoki, świeże powietrze (w porównaniu do dnia poprzedniego...), obecność drobnych zwierząt przemykających szybko po szlaku z jednej strony na drugą, szybujących drapieżników oraz zieleń wokół sprawy, że nie chciałam opuszczać tego miejsca. Jednak tego gorącego dnia patrząc na nurt Yellowstone marzyłam także o tym, aby ochłodzić się w zimnym, rwącym potoku. Jakie było moje



zaskoczenie, kiedy stawiając swoje stopy w wodzie przez jedną przepływał lodowaty prąd, a przez drugą ciepły, na skutek spływu z niedalekich gejzerów gorącej wody. Było kilka miejsc, gdzie można było wygrzać się dosłownie jak w jacuzzi, po czym dając krok dalej ochłodzić się. Naprawdę niesamowite wrażenie, którego nie da się opisać.



Ostatnim punktem w planie mojej wycieczki był Mammoth Hot Springs, czyli kilkupiętrowe wapienne tarasy rozciągające się na sporym obszarze. Powstały one (i cały czas powstają, bo ich kształt zmienia się dość szybko) na skutek wydobywającej się na szczycie wzgórza wody zawierającej związki wapnia, które podlegają u ujścia



reakcjom chemicznym i zestalają się tworząc coraz to nowe skalne warstwy.

Co najbardziej zaskoczyło mnie podczas wyprawy? Już pomijając naprawdę niesamowite dzieła natury – turyści różnych narodowości przestrzegają tu zasad ochrony środowiska; właściwie nie zauważyłam nigdzie przypadków śmiecenia, wandalizmu czy płoszenia zwierząt. Nieraz zdarzyło się, że przy drodze wypoczywał jelen, przechadzał się bizon, albo w oddali było widać ich dość pokaźne stadko – wówczas ktoś zatrzymywał się, robił z samochodu zdjęcia, a za nim ciągnął się sznur kolejnych ciekawskich turystów. Nikt na nikogo nie



krzyczał, nie popędzał, nie trąbił – po prostu cierpliwie czekał. Ludzie byli dla siebie naprawdę mili, kłaniali się nieznajomym, dzielili wrażeniami. W dzisiejszych czasach jest to rzadko spotykane...

Kończąc – spotkałam pięciu studentów z Wrocławia, pracujących w kuchni oraz sprzątających pokoje. Pracę załatwili sobie przez biuro (nie

pamiętam niestety jakie). Oczywiście najpierw musieli zainwestować ok. 7000zł (podejrzewam, że na bilety lotnicze, jakieś ubrania, dojazd do parku itp.). Przyjechali w czerwcu i do końca sierpnia będą pracować, natomiast wrzesień przeznaczyli sobie na zwiedzanie zachodniej części USA. W tym celu złożyli się na jakiś tani samochód, który nie ma biegu wstecznego, co jednak nie stanowił dla nich problemu... Mówili, że nawet jeśli do Polski wrócą z „niczym” to i tak spędzają tu przygodę swojego życia. I tak naprawdę wcale im się do naszego rodzimego kraju nie spieszy... Piszę to dlatego, aby pokazać, że naprawdę wszystko jest możliwe. Nie trzeba mieć przy sobie mnóstwa pieniędzy- można wziąć kredyt studencki, jakąś pożyczkę – 2 miesiące pracy i wszystko się zwraca! Wystarczy mieć marzenia, trochę odwagi, paczkę przyjaciół aby było różniej i ruszać śmiało na podbój nieznanego. Bo jak nie teraz, to kiedy?

*Agata Kozubaj, Ir. leśnictwo II st.*



## Miasto karnawału i festiwalu filmowego. Miasto Marco Polo i Casanovy. Miasto na wodzie...

### Witajcie w Wenecji!

Do Wenecji położonej na wodzie można dostać się z naziemnej części miasta koleją lub transportem wodnym, i choć może to dziwić, osobiście polecam to pierwsze. Właśnie w tej części wsiada się do pociągu na stacji Mestre. Pociąg rusza, a podróż trwa niecałe 20 minut, poczym dojeżdżamy na stację Santa Lucia.

Dworzec jak dworzec, nie zachwyca. Z peronów zmierza się do budynku stacji, bardzo zwyczajnego. Jednak gdy przejdziemy już przez ten budynek, znajdziemy się w zupełnie innym świecie. Wrażenie jest ogromne, bo wychodzimy bezpośrednio nad Canal Grande (Wielki Kanał). Dech zapiera i człowiek nie może uwierzyć, że jeszcze przed chwilą znajdował się na zwykłym dworcu i jechał zwykłym pociągiem.

Canal Grande to najbardziej ruchliwa „ulica” Wenecji. Pływają tu prywatne łodzie, tramwaje wodne, zwane vaporetto oraz tak znane na całym świecie gondole. I znów mogą zaskoczyć, ale polecam chodzić tu pieszo, aby „złapać klimat”.

Ruszajmy więc! Ze stacji skierujemy swe kroki na most degli Scalzi. I już jesteśmy po drugiej stronie Wielkiego Kanału. No dobrze, ale gdzie my właściwie idziemy? Ano, drogi Czytelniku, na Piazza San Marco (Plac św. Marka), do serca Wenecji, żeby tam dotrzeć będziemy musieli jeszcze raz przekroczyć



Canal Grande, który wije się po mieście niczym wąż. Jednak czeka nas dłuższy spacer, bo obecnie znajdujemy się w części zwanej Santa Croce.

Zatem zagłębmy się w uliczki Wenecji. Trzeba zaznaczyć, że wbrew panującej opinii, w mieście nie panuje nieprzyjemny zapach brudnej wody. Jeśli ktoś się przy takiej informacji upiera, raczej tu nie był.

Pokonując mostki i ruchliwe uliczki, wypełnione turystami i straganami, dojdziemy do części San Polo, a to oznacza, że już za chwilę znajdziemy się na najstawniejszym moście Wenecji – Ponte di Rialto, który przebiega nad Kanałem Grande. W środku rozpiętości mostu Antonio da Ponte zaprojektował podwyższony łuk, do którego dochodzą dwa rzędy kramów usytuowanych wzdłuż całego przęsła, frontem do wnętrza mostu. Pomiędzy nimi, poprowadzona jest uliczka dla pieszych. Przejście jest możliwe także przy obu balustradach (od strony wody). Most ma rozpiętość 28,80 m i wysokość 7,32 m.





W okolicy znajduje się oczywiście dużo straganów i sklepów. Wszędzie można kupić pamiątkową maskę, bo jak wiadomo, Wenecja to miasto karnawału i dobrej zabawy. Znajduje się tu też biżuteria i inne wyroby ze szkła Murano.



Przejdźmy jednak na drugą stronę mostu, do części o nazwie San Marco. Nazwa wskazuje czego możemy się tu spodziewać.

Ruszajmy szybko ulicami i mostkami, aby dotrzeć na upragniony Plac św. Marka. Ja dostałam się tu przechodząc przez bramę z zegarem, który prócz godziny wskazuje także w jakim znaku zodiaku znajduje się obecnie Słońce.



Po prawej muzeum Civico Correr, po lewej bazylika di San Marco. Niemalże na wprost mnie Campanile, czyli dzwonnica, za którą znajduje się placzyk św. Marka (Piazzetta San Marco), a przy nim Pałac Dożów (Palazzo Ducale) oraz Muzeum Archeologico Nazionale i Sale monumentali della Biblioteca. Wszystko to na tle Kanału św. Marka.

Na Placu życie tętni, kawiarnie mają tu swoje stoliki, przygrywają muzycy. Jeśli jednak nie mamy w portfelu za dużo euro nie polecam siadać. W wielu włoskich miastach są osobne ceny za kawę „na stojąco” i „na siedząco”. A kapele też liczą sobie za swoje piosenki. Dlatego delektując się tu napojem czy ciastkiem, możemy łatwo pozbyć się 50€, a nawet więcej!

Po zwiedzeniu wszystkich zabytków (najbardziej polecam Bazylikę) udajmy się w stronę Kanału św. Marka. U wylotu placyku znajdują się dwie kolumny. Legenda mówi, że przejście między nimi przynosi pecha, więc przejdźmy obok. Na Kanale zacumowane są gondole, a w oddali widać piękną bazylikę Santa Maria Della Salute. Jednak wspomnieć należy o jeszcze jednej



perelce tutejszego miejsca. Idąc wzdłuż Canale di San Marco w kierunku wschodnim, na tyłach Pałacu Dożów, zobaczymy Ponte dei Sospiri, czyli Most Westchnień. Został on zaprojektowany przez Antoniego Contino, zaś budowę ukończono w 1614 roku. Most łączy pomieszczenia I piętra Pałacu Dożów z budynkiem nowego więzienia (Prigioni Nuove) zbudowanym na przełomie XVI i XVII wieku. Konstrukcja jest przewieszona nad Kanałem Pałacowym. Wewnątrz mostu znajdują się dwa oddzielone od siebie korytarze. Celem zbudowania mostu było umożliwienie połączenia pomiędzy więzieniem, a obradującym w Pałacu Dożów Trybunałem Kryminalnym. Przez most prowadzono skazańców do cel, gdzie mieli odsiedzieć swój wyrok. I właśnie przez małe okienka w moście mogli zobaczyć wolność, którą stracili i westchnąć ze smutku. Stąd nazwa mostu.



I tak wygląda najslynniejsze miejsce Wenecji. Jednak miasto to skrywa wiele przepięknych miejsc, które tylko czekają na odkrycie przez turystę. Z mojej strony mogę tylko polecić Wam podróż do tego wspaniałego miasta. Mam nadzieję, że przypadnie Wam do gustu, tak jak mnie. Pozostaje mi tylko napisać:

***Arrivederci in Venezia!***

Olcha



## Republika aż do nieba i sowiecki klimat, czyli witamy w Kirgistanie

### Step by step

Właśnie rozpoczyna się szósta doba naszej podróży, kiedy poznany w pociągu Ukrainiec zaczyna mnie szarpać i mówi, że za 30 minut musimy wysiąść – zbliżamy się bowiem w okolice granicy kazachsko-kirgiskiej. W błyskawicznym tempie budzę resztę swoich kompanów, którzy chwilę później jeszcze raz nerwowo sprawdzają, czy aby nie zostawiliśmy czegoś z naszego ekwipunku? Spoglądając już ostatni raz przez okno pociągu relacji Simferepol (Ukraina)- Alma-Ata (Kazachstan) zdałem sobie sprawę, że coś się zmieniło – z daleka widać góry!



To naprawdę niesamowity widok po przeszło trzech dniach jazdy przez kazachski step, gdzie pociąg stał jakby w miejscu – rano step, wieczorem – step, w nocy step ;-). Swoją drogą nie mogłem wyjść z podziwu dla wyolbrzymionej postaci wszystkiego, co tutaj występuje. Pamiętałem doskonale z wykładów, jak profesor nazwał stepy ogromnymi obszarami, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że zrobią one na mnie takie wrażenie w rzeczywistości. Kilkudniowa podróż najtańszą klasą pociągów kolei transsyberyjskiej (3 kl. - plackart) pozwoliła mi poznać wiele interesujących osób. Między innymi przegrałem w szachy litr wódki z prowadnikiem (tutejszy konduktor – Kazach, co ciekawe urodził się tego samego dnia i miesiąca co ja ;-)). Poznałem Bułgarkę która została zesłana tutaj za czasów ZSRR i już nigdy nie wróciła do ojczyzny. Pytałem dlaczego? Ze smutkiem odpowiedziała, że nie ma już do czego wracać, w Kazachstanie ma pracę, boi się zmian po tym, co przeżyła. Wymieniony wcześniej Ukrainiec okazał się doktorem historii, który wraz z żoną jechał podobnie jak my do Kirgizji, chodzić po nieudeptanych ścieżkach oraz odkrywać uroki tego górskiego państwa.

## **Kirgiz szuka konia, konia szuka Kirgiz**

Po długiej i męczącej podróży jesteśmy nareszcie na terytorium Republiki Kirgiskiej. Największe zaskoczenie wywołał we mnie wszechobecnie otaczający nas spokój. Marszrutka (tutejszy minibus) jadącą od przejścia granicznego do Biszkeku (stolica Kirgizji) co chwile zatrzymywała się, bo na trasie akurat stały konie, barany czy po prostu dyskutujący pomiędzy sobą Kirgizi. Najwięcej śmiechu wywoła sytuacja, kiedy jeden z dosiadających się do nas Kirgizów zapytał mnie, czy widziałem stojące kilka metrów wcześniej konie? Od razu skojarzyłem to z piosenką zespołu muzycznego L-Dópa. Stolica kraju zrobiła na nas bardzo pozytywne wrażenie, (po doświadczeniach z pozostałych wojaży po krajach starego ZSRR wydawało mi się że będę czuł się non stop obmacywany przez spojrzenia miejscowych) jednak podczas kilkunastogodzinnej przechadzki po centrum miałem ochotę co najmniej trzy razy powiedzieć do spacerujących tutaj osób – pospolite siema ;-). Wyglądali niemalże identycznie jak mieszkańcy blokowisk Aglomeracji Łódzkiej. Ciekawostką jest, że to właśnie my Polacy jesteśmy prawdopodobnie bardziej spokrewnieni genetycznie z Kirgizami niż np. Niemcami, Anglikami, czy może nawet Czechami, dlaczego? Bardzo możliwa jest interpretacja wielkiej wędrówki Słowian z terenów Azji Centralnej do Polski.

W Biszkeku ceny noclegów są zróżnicowane po tak długiej podróży „szarpnęliśmy” się na hotel o dwugwiazdkowym standardzie, który kosztował nas około 25\$ na osobę i zrujnował kompletnie nasz skromny budżet. W drodze powrotnej jednakże udało mi się złapać najtańszy nocleg podczas całej podróży za niespełna 2\$ na podłodze w garażu obok jednego z nielicznych w Kirgistanie hosteli.

## **Wszechobecny zapach baraniny i „konserwatywny” islam**

Po pierwszych dniach spędzonych w stolicy nadszedł czas, aby wyruszyć do kolejnego celu naszej ekskursji - przed nami ponad 8 godzinna podróż marszrutką z Biszkeku do największego kurortu Kirgizji, a więc Czolponaty. Co najmniej raz w roku staram się pojechać w moje ulubione polskie góry Bieszczady, ponieważ uważam je za stosunkowo mało zdeptane przez stonkę turystyczną, ale to co zobaczyłem tutaj przerosło najśmielsze oczekiwania. Niesamowite widoki skutecznie odebrały mi mowę na kilka godzin, zdałem sobie sprawę że wreszcie dotarliśmy do celu przed nami Tianszan w całej okazałości.





Już od kilkunastu kilometrów po naszej prawej stronie widać ogromną wodę - to jedno z największych górskich jezior na świecie – jezioro Issyk-Kul posiadające niemalże 700 km linii brzegowej. Po chwili docieramy do Czolponaty gdzie od razu "atakują" nas miejscowi z zapytaniem, czy potrzebujemy noclegu? W końcu lokujemy się w centrum największego kurortu Kirgistanu. Warunki były całkiem dobre, spaliśmy w pomieszczeniach gospodarczych, toaletą był arabski wychodek (dziura w ziemi) a prysznic to konewka, którą należało pociągnąć za sznurek, aby spowodować ruch wody – cena jednak bardzo przystępna, bo około 15 zł od osoby za noc. Samo miasteczko było dość interesujące, a zarazem bardzo zaniedbane widać, że po rozpadzie Związku Radzieckiego niewiele się tutaj dzieje. Kilka knajp, gdzie głównie zasiadali bogatsi

turyści z Kazachstanu, od czasu do czasu można też było spotkać pojedynczych Rosjan i Niemców.



Co ciekawe w mieście Czolponata było nieco taniej niż w stolicy. Ogólnie rzecz ujmując ze względu na trudne warunki życia mieszkańców, Kirgistan musi importować większość produktów ogólnospożywczych, co skutkuje, że ceny tutaj są maksymalnie do 20% niższe niż w Polsce, a niektóre produkty nawet je przewyższają (chipsy, soki,

kukurydza konserwowa firmy Krakus) Tania była wódka (0,5 l kazachskiego lub kirgiskiego trunku wysokoprocentowego to koszt około 6-7 zł, ukraiński Nemiroff nieco droższy +/- 10 zł za 0,5 l.), papierosy (paczka od 0,7-3,5 zł), oraz Coca Cola (0,5 l w zależności od sklepu od 1 do 1,5 zł, butelka 2l około 3 zł).

Azja centralna to także raj dla smakoszy baraniny – można tutaj zjeść zupę, pierożki, szaszłyki i wiele innych potraw oczywiście z baraniną. Ponadto gdzieś tam istnieje możliwość zakupu pieczonego kurczaka lub kebabu drobiowego (kebab w bułce kosztuje około 8 zł, tortilla nieco drożej). Kirgistan jest krajem islamskim, więc raczej nie ma mowy, aby ktoś tutaj serwował wieprzowinę. Jednakże pomimo „wstrzemięźliwości kuchennej”, zasady Koranu nie są tutaj skrajnie przestrzegane. Kobiety w większości chodzą ubrane jak osiemnastolatki w Ustce, a w czasie Ramadanu co niektórzy Kirgizi swobodnie podczas zenitu słońca jedli ze smakiem baraninę popijając zimnym piwem. Czytałem kiedyś jak jeden z polskich podróżników opisywał, że raz w życiu zdarzyło mu się wypić toast za Allacha – w Kirgistanie.





Nieopodal jeziora Issyk-Kul znajduje się bardzo zaniedbane muzeum, w którym można znaleźć prehistoryczne rysunki naskalne. Dziwił mnie fakt, że tak duże bogactwo kulturowe mogło zostać zaniedbane w ten sposób. Właściwie to niektórzy mieszkańcy Czolponaty nawet nie za bardzo potrafili nam wytłumaczyć jak tam dojść...

Ciekawostką jest, że zarówno na terenie muzeum jak, w dziurach pomiędzy płytkami chodnikowymi w Biszkeku, nad jeziorem Issyk-Kul i całym Kirgistanie rośnie konopia! Która spełnia tutaj często rolę zieleni miejskiej.



### Oko baranie i spacer po górach

Po kilku dniach odpoczynku nadszedł czas na trekking. Jedną z najbardziej znanych baz wypadowych jest znajdujące się na wysokości 1800 m n.p.m. miasteczko Karakol, stąd często trekkingowcy rozpoczynają wyprawę na Szczyt Lenina (7134 m n.p.m.). To jeden z najtrudniejszych szczytów świata.

Miasteczko poniekąd przypomina klimat, jaki musiał panować w polskich górskich bazach wypadowych przed trzydziestoma laty. Najtańszy nocleg kosztował około 12 zł w szkole podstawowej. Na czas wakacji w klasach rozładane są łóżka polowe. My jednak robimy się w najbardziej znanej



tutejszej bazie – „Turkestan”. Bardzo klimatyczne miejsce przy odrobinie szczęścia można spotkać w niej wielu wytrawnych podróżników oraz za mniej więcej 15-20 zł od osoby przespać się w klimatycznej jurcie. Spacerując za dnia po mieście trafiliśmy na bazar z „powiedzmy sobie szczerze, nietypowym dla „klimatów europejskich” asortymentem jak np. baranie oczy, mózgi, itp.



Poza wyżej wymienionymi „rarytasami” bazary azjatyckie posiadają skarb w postaci setek różnorodnych przypraw, które można nabyć tutaj w bardzo dobrej cenie.

Miasteczko Karakol ma w posiadaniu także drużynę piłkarską Issyk-kul Karakol i pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie fakt, że w całej Kirgizji jest tylko sześć drużyn z czego dwie znajdują się w Biszkeku.

Na trzydniową wyprawę w góry założyliśmy sobie jako cel przejść przez szczyty o wysokości mniej więcej 4000 m n.p.m. oraz przemierzyć z plecakami niemalże 50 km. Dla wielu trekkingowców ta odległość mogłaby wydawać się śmieszna jak na trzy dni, jednak tutejsze szlaki bardzo różnią się od naszych rodzimych. W górach nie spotka się praktycznie nikogo, poza pasącymi się końmi. Mnie osobiście zaciekała występująca tutaj roślinność, drzewa spotykaliśmy niemalże do wysokości 2500 m n. p. m. Niestety z każdym krokiem powyżej 3000-3500 m n.p.m., u części naszej załogi pojawiały się coraz większe problemy z aklimatyzacją. W efekcie czego rozdzielamy się na dwie grupy, a część z nas wybiera łatwiejszy, jednodniowy wariant trasy. Po raz kolejny zrozumieliśmy, że to co tutaj występuje, ciężko zmierzyć miarą sił i zamiarów. Tienszan okazał się trudniejszy niż nam się wydawało.



Podróż do Kirgistanu okazała się fantastycznym przeżyciem, z której przywożem wiele wspomnień. Panujące tam warunki życia, pozwalają zdystansować się do otaczającego nas świata.

W relacji wykorzystane zostały zdjęcia wszystkich uczestników wyprawy: Asi, Marcina, Rafała i Michała i Dominika.

Autor: Dominik Wieczorkiewicz

## Pieczony bakłażan, czyli podróż pociągiem do Batumi

To nie jest relacja ze zdobywania najwyższych gór Kaukazu, to także nie opis pierwszej w życiu jazdy pociągiem. To zaledwie jeden dzień podróży, który nieco, a może i nawet bardzo różni się od codzienności.

Przed nami niespełna doba w plackartnym (3 klasa) wagonie pociągu nr 202 relacji Erewań (Armenia) - Batumi (Gruzja). Wybraliśmy właśnie ten środek transportu, po to aby zaoszczędzić na noclegu. Nasz skromny budżet topniał z dnia na dzień, a przed nami jeszcze długa podróż drogą lądową do Polski. Ale teraz mieliśmy co innego na myśli. Już tylko kilka godzin dzieliło nas od jednego z największych kurortów Morza Czarnego i zasłużonego odpoczynku po kilkunastodniowej tułaczce po państwach Zakaukazia.

Ostatnie półtorej godziny spędzone w Erewaniu przed odjazdem pociągu do Batumi postanowiliśmy przeznaczyć na posiłek w przydworcowej restauracji. Dostaliśmy się do niej zupełnie przypadkowo, bo przez kuchnię. Knajpa była dobrze zamaskowana poprzez intensywnie rozrośniętą winorośl. Menu w niej nie było, jedynie starsza pani, właścicielka restauracji wymieniła kilka potraw: szaszłyk, kebab, kurczak, wieprzowina, ziemniaki. Zamówiłem niezdecydowanie skrzydełka z kurczaka i już chciałem opuścić kuchnię, kiedy jeden z młodych kucharzy zapytał się mnie, czy przyjechałem z Moskwy? Z pełnym spokojem odpowiedziałem, że nie, mieszkam w Polsce. Miałem dziwne wrażenie, że po mojej odpowiedzi atmosfera się rozluźniła, a szefowa restauracji obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. Chwile później zobaczyłem na grillu pieczonego bakłażana. Tylko jak jest bakłażan po rosyjsku? Wytłumaczyłem więc, że chciałbym zamówić to czarna warzywo. Na to sympatyczna pani kierownik, pouczyła mnie – zapamiętaj chłopcze po rosyjsku - nazywa się to bakłażan 😊.



Pieczony bakłażan i inne smakołyki w przydworcowej restauracji



Następnie dodała, abym już nie wchodził do nich przez kuchnię, tylko tam za ścianą znajdują się stoliki, przy których można spokojnie zjeść. Poza nami w knajpie czekało jeszcze jedynie kilku miejscowych kolejarzy. Zakrapiali spotkanie wysokoprocentowym trunkiem i głośno przy tym rozmawiali. W pewnym momencie niespodziewanie wcześniej nadjechał nasz pociąg. Tłumy ludzi na peronie żywiłowo odnajdywały swoje wagony. W końcu i my wcześniej nerwowo żegnając się z sympatyczną obsługą restauracji. Dostaliśmy się do swoich miejscówek znajdujących się w ostatnim wagonie. Naprzeciwko nas niecierpliwie czekały odjazdu dwie młode Ormianki, jak się później okazało niezwykle wyzwolone kobiety.



Zdjęcie prezentuje dwie w/w Ormianki i jedną Polkę



Różowe budynki w Erewaniu

Prowadnik (kierownik pociągu) nawołuje ostatnich pasażerów, no i powoli zaczynamy kolejny etap podróży. Pociąg leniwie posuwając się po torach, pozwalał nam ostatni raz spojrzeć na co raz bardziej oddalającą się stolicę Armenii. Początkowo planowaliśmy zagrać kilka gier w kości, karty, warcaby i położyć się spać, aby nad ranem w Batumi czuć się znowuż rześko i w pełni sił. Jednak już po zaledwie kilkunastu minutach jazdy, staliśmy się głównym obiektem zainteresowania wśród miejscowych. W przedziale pod oknem ulokował się przeszło trzydziestoletni Ormianin, Aram, który szybko pochwalił się, że jedzie na spotkanie z kuzynką prezydenta Gruzji. Przedział dalej siedziało dwóch młodych

chłopaków, jadących w pierwszą w życiu w zagraniczną podróż. Położenie Armenii nie daje dużo możliwości taniego podróżowania nad morze. Trwający od dawna konflikt z Azerbejdżanem oraz regulujący dosłownie wszystko szycki islam w Iranie, nie pozwalają Ormianom na imprezowy wypoczynek nad morzem Kaspijskim. Ponadto również w wyniku konfliktów, całkowicie zamknięta jest granica Armenia-Turcja. Większość z mieszkańców Armenii może więc zapomnieć o tureckich kurortach. Początkowo zaczęło się niewinnie od rozmowy, jednego piwka, lecz z biegiem czasu atmosfera co raz bardziej się rozluźniała. Dwie wcześniej wymienione dziewczyny to Anna i Nina. Jak się okazało są świeżo upieczonymi absolwentkami Uniwersytetu w Erewaniu. Ponadto biegle władały językiem rosyjskim, angielskim, jak i oczywiście ormiańskim. Miały bardzo negatywny stosunek do mężczyzn w swoim kraju. Otwarcie nazywały ich podrywaczami, nierobami czy alkoholikami. Poza tym ich styl i zachowania wskazywało, że mają bardzo duże poczucie swojej wartości. Dwóch chłopaków to 20-latkowie Hayk i Andreyj. Jeden z nich był piekarzem, drugi natomiast właścicielem sklepu ogólnospożywczego. Obydwoje dość dobrze mówili po rosyjsku. Hayk przyznał się później, że jest absolwentem rosyjskiej szkoły podstawowej. Kiedy spoglądałem na nich wydawało mi się że kilka lat temu byłem taki sam. Jadąc z rówieśnikami pociągiem z rodzinnej miejscowości nad morze wszystko wydawało mi się bardzo proste. Odkrywanie świat była jeszcze zbyt odległe, a podróż do Gruzji zdawała się wyznaczać horyzont młodzińskich marzeń.

**Hayk i Andreyj podczas w pierwszej w swoim życiu zagranicznej podróży**



Atmosfera coraz bardziej robi się przyjazna miejscowi, co rusz ugaszczali nas różnymi trunkami od koniaków, po piwo, wino i wódkę. My również, jak przystało na Słowian, nie pozostaliśmy dłużni. Nie mając już alkoholu podarowaliśmy im różne pamiątki (biało-czerwone naszywki, karty do gry, słownik polsko-rosyjski). Po upływie kilku godzin jesteśmy już na kolejowym przejściu granicznym z Gruzją. W tym miejscu Hayk i Andreyj próbowali dogadać się z ormiańskim pogranicznikiem (strażnik graniczny), aby za kilka dolarów odsprzedał im kolejne 0,75 wódki. O dziwo, dość szybko wyraził aprobatę. Kontrola graniczna, to tylko formalność Gruzini wbili pieczętki w nasze paszporty, a my jedziemy dalej. Aram w międzyczasie pochwalił się, że skończył trzy fakultety w Uniwersytecie w Tbilisi (Gruzja). Następnie co rusz wyjmował z kieszeni dolary, przeliczając je dokładnie papierek po papierku. Po jakimś czasie dotarliśmy do stolicy



Gruzji. Tutaj żegna nas Aram, którego z niecierpliwością oczekują na dworcu Gruzini. Zaraz po opuszczeniu stolicy Gruzji, wszyscy jak „jeden mąż” położyliśmy się spać. Obudziliśmy się nad ranem, w miejscowości Kobuleti. Po upływie niespełna godziny docieramy do największego kurortu Gruzji- Batumi. Jak się okazało dworzec kolejowy mieści się kilka kilometrów od miasta, więc ledwie zdążyliśmy wyjść, a już dopadli nas miejscowi taksówkarze. Stanowczo odmówiliśmy. Wiedzieliśmy, że jakiś czas na pewno będzie autobus do centrum. Czas oczekiwania, postanowiliśmy wykorzystać na pierwszą w tym roku kąpiel w Morzu Czarnym. Dworzec kolejowy znajduje się nieopodal dzikiej plaży. Podczas kąpieli w Morzu Czarnym zaczepia nas Lewan, miejscowy biznesmen. Posiadał dwa miejsca handlowe w głównym pasażu w Batumi. Zaproponował nam bezpłatną podwózkę do centrum (podobno 10 km). Zgodziliśmy się. W trakcie jazdy otrzymaliśmy propozycję wstąpienia do jego rodzinnego domu na turecką kawę, którą rzekomo sam produkuje. Zgodziliśmy się. Gospodyni przywitała nas bardzo entuzjastycznie. Jak się okazało lubiła Polaków. Kiedyś na lotnisku w Londynie, spotkała ją taka przygoda. Leciła w odwiedziny do córki pracującej jako emigrantka w Glasgow (Szkocja), jednak zupełnie nie rozumiała angielskiego. Jak sama powiedziała *znam tylko rosyjski i gruziński*. W pewnym momencie pomocną rękę wyciągnęła do niej młoda kobieta – Polka, która, co prawda po polsku, ale jak sama przyznaje - *wszystko dokładnie mi objaśniła*. Chwilę później zasiedliśmy przy syto zastawionym stole w rodzinnym domu Lewana, po raz kolejny tej doby kosztując pieczonego bakłażana, który smakował bardzo podobnie do tego z przydworcowej knajpie.

Na zakończenie tej relacji z cyklu zrozumieć świat kilka zdjęć z Batumi:

**Batumi widziane z  
perspektywy pobytu na dzikiej  
plaży w okolicach głównego  
dworca kolejowego**





**Panorama Batumi**



**Plażowanie po gruzińsku**



Co ciekawego jadłaś? To jedno z najczęściej zadawanych mi przez przyjaciół i rodzinę pytań, gdy wracam z kolejnej podróży.

Co ciekawego? Czasem jest to zupełnie nieznaną rośliną lub zwierzę, czasem inny sposób przyprawienia znanych produktów, czasem zupełnie inny sposób przyrządzenia.

Moje przygody kulinarne rozpoczęły się, gdy będąc pierwszy raz za granicą, w czasie studiów, spędzałam czas w Anglii. Byłam zaproszona do typowej angielskiej rodziny na obiad i chciałam pomóc w przygotowaniach. I... wyrzuciłam zielone liście kalafiora. Problem w tym, że gospodarze gotowali je i jedli razem z białym kwiatem... Zresztą polecam przyrządzenie kalafiora, brokułów lub innych warzyw gotowanych na sposób angielski tj. zapiekane z sosem serowym. Pierwsza wizyta w Londynie, sklep w dzielnicy w większości zamieszkałej przez Hindusów, „zwykły sklep spożywczy”: poza ryżem nie znam nazwy, ani przeznaczenia pozostałych produktów. Pamiętam moją rozmowę z towarzyszką podróży: „żeby tak dobrze znała angielski i mogła zostać w Londynie z miesiąc i co dzień chodzić do tego sklepu i pytać sprzedawcę o poszczególne produkty i gotować co dzień nową potrawę”. To było 10 lat temu, chyba nie muszę dodawać, że dziś już rzadko cokolwiek zaskakuje mnie w londyńskich sklepach z żywnością. Gorzej, ostatnio zesłam 2 dzielnice w poszukiwaniu atramentu z ośmiornicy do gotowania.

Właściwie z każdego kraju przywożę nowy smak lub potrawę: z Niemiec piwo pszeniczne, ze Szwajcarii ser *Gruyère*, z Francji mule(omułki jadalne), z Anglii chipsy z octem, z Norwegii dżem z moroszeki itd., itp. Najbardziej w pamięć zapadają oczywiście potrawy egzotyczne, jedzone z daleka od domu: zupa *Tom YumGung* w Bangkoku czy pozy w Irkucku.



Zupa Tom YumGung (fot. P.Strzeliński)

Najlepiej „zwiedzać” targi i małe knajpki, kupować jedzenie na ulicy (pod warunkiem, że mamy w plecaku (1) butelkę wódki, (2) leki na biegunkę). Wtedy mamy szansę na autentyczne smaki i produkty. Wszelkie hotele, hostele i restauracje z anglojęzycznym menu będą miały potrawy „podkrecone” na smak turystów amerykańskich i europejskich. Czasem to będzie oznaczało, że da się je przełknąć w ogóle (połowa

mniej chilli), ale czasem będzie to jak McDonald. A do tego ta ruletka – ciekawe z czego to jest? Teraz już jeżdżę przygotowana, czytam książki, robie listę tego, co chcę spróbować, próbuje uczyć się nazw w miejscowych językach. Próbuje pytać (choć to za dużo powiedziane) jak coś przyrządzić, przemycam przyprawy.

Najlepsza pod tym względem jest Azja, w tych krajach ludzie żyją na ulicy, tam gotują i jedzą – można napełnić żołądek i napatrzeć się do woli.



Na targu w Bangkoku (fot. P.Strzeliński)





Czasem nie warto, jednak, próbować rzeczy przed którymi nas ostrzegają przewodniki lub osoby znające temat – spróbowałam durian – jest to owoc ceniony w Azji, okropnie śmierdzi i równie źle smakuje. Długo nie mogłam się pozbyć tego smaku... podobne wrażenia zostały mi po islandzkim rekinie.

Najlepsze sajgonki na świecie (fot. P. Strzeliński)

Oczywiście wracamy do domu i próbujemy odtwarzać najlepsze smaki i... zazwyczaj to już nie to. Dlaczego? Przecież wszystko robimy jak trzeba, wykosztowaliśmy się na świetne składniki. Cóż są 2 wytłumaczenia:

(1) „naukowe” smak jaki odczuwamy to współpraca

kilku naszych zmysłów. Intensywność odczuwania zapachów i smaków jest uzależniona od temperatury, wilgotności ect. Stąd ośmiornica w Poznaniu nigdy nie będzie smakowała tak jak w małej knajpce nad oceanem w Portugalii.

(2) „romantyczne” nie ważne, co się je, ważne, w jakim towarzystwie i w jakiej atmosferze: zachód słońca, śpiew ptaków itp., itd.



Tradycyjne potrawy z górystego rejonu Chiang Mai w Tajlandii (fot. P.Strzeliński)



Skarby Pirenejów: wino i czosnek gigant (fot. A.Wierzbicka)

A jak już się tak najeżdżę, najem i w końcu wracam do domu to gotuję wielki garnek „klasycznej pomidorówki”, dopiero potem zapraszam gości na kolację tematyczną związaną z nowymi doświadczeniami smakowymi. Zaś od wszystkich krewetek i win świata lepsza jest butka z kiełbasą myśliwską zapijana piwem Kozel na stoku Śnieżki z widokiem na wygasły wulkan.

### Prosty przepis na anglosaskiego kalafiora

**1 kalafior**

**2 łyżki masła**

**3 łyżki mąki**

**2 szklanki mleka**

**1 szklanka startego żółtego sera cheddar (wersja luksusowa) lub jakiegoś innego, byle ostrego w smaku.**

Gotujemy kalafiora na „średnio”, przygotowujemy sos: do rondla wkładamy masło i mąkę i przygotowujemy białą zasmażkę (mieszymy energicznie, aż mieszanina połączy się i spieni, ale ciągle będzie biało-żółta), zdejmujemy z ognia, dodajemy mleko, mieszymy energicznie. Stawiamy na gazie i mieszymy aż się zagęści, przyprawiamy, zdejmujemy z ognia, dodajemy ser mieszymy aż się ser połączy z sosem. Naczynie żaroodporne smarujemy masłem, wkładamy kalafiora, polewamy sosem i wstawiamy do piekarnika z włączoną górną grzałką i zapiekamy aż się góra zrumieni.

Smacznego, a następnym razem coś trudniejszego i bardziej egzotycznego;-)

Anna Wierzbicka



## Teksty znane i nieznane na wakacje, część I

Na lato czekamy cały rok. Obmyślamy, planujemy i obliczamy, jak by tu najlepiej spędzić czas wolny od pracy i nauki. Jak tu wygospodarować chociaż tydzień lub dwa i odpocząć? Wreszcie nadchodzi upragniony urlop i okazuje się, że nie potrafimy go odpowiednio wykorzystać. Ciężko jest zapomnieć o pracy, nauce i codziennych troskach. Niejednokrotnie zabieramy też pracę ze sobą na wakacje. Jaki jest efekt takiego postępowania? Ano taki, że w ogóle nie odpoczywamy i wracamy do domu jeszcze bardziej zmęczeni i rozdrażnieni otaczającą nas rzeczywistością niż przed „wymarzonym” urlopem. Okazuje się, że trzeba nauczyć się odpoczywać, bo to wcale nie jest takie proste, jakby mogło się z pozoru wydawać. Czasem trzeba sobie po prostu odpuścić i ... pójść na ryby, tak jak Chris Rea.

BB

## Chris Rea „Gone fishing” (Album „Auberge” 1991)

## „Poszedłem na ryby”

I'm gone fishing

Poszedłem na ryby

I got me a line

Wziąłem z sobą żyłkę

Nothing I do is gonna make the difference

Cokolwiek zrobię nie ma to znaczenia

So I'm taking the time

Nie śpieszę się zatem

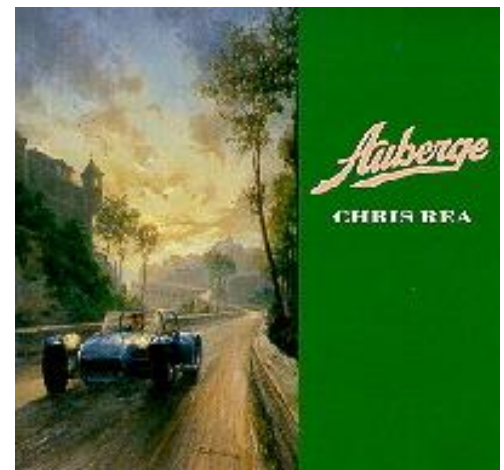
And you ain't never gonna be happy

Nigdy nie będziesz szczęśliwy

Anyhow, anyway

Jakkolwiek, tak czy owak

So I'm gone fishing



A ja poszedłem na ryby  
And I'm going today  
I idę dzisiaj  
I'm gone fishing  
Poszedłem na ryby  
Sounds crazy I know  
Wiem, że to brzmi niedorzecznie  
I know nothing about fishing  
Bo nic nie wiem o wędkowaniu  
But just watch me go  
Ale zobacz, że i tak idę  
And when my time has come  
A gdy przyjdzie na mnie pora  
I will look back and see  
Obejrzę się i zobaczę  
Peace on the shoreline  
Spokój nad brzegu  
That could have been me  
Który mógłby być mną  
You can waste a whole lifetime  
Możesz zmarnować całe życie  
Trying to be  
Próbując być  
What you think is expected of you  
Tym, kogo się od ciebie oczekuje  
But you'll never be free  
Ale nigdy nie będziesz wolny  
May as well go fishing  
Możesz równie dobrze pójść na ryby



## Teksty znane i nieznane na wakacje, część II

W pierwszej części wakacyjnej edycji „Tekstów...” napisałem, że latem (i nie tylko wtedy) trzeba nauczyć się odpoczywać. Warto oddać swój umysł i ciało relaksowi oraz beztrudności. Nie jest to łatwe, ponieważ we mnie każda zmiana pór roku budzi melancholię i uświadamia po raz kolejny jak szybko płynie czas. Ani się obejrzę, a w ostatni dzień lata stanę przed kalendarzem zadziwiony, że tu już wrzesień. Co wtedy będę myślał? Może to samo, co Robert Smith z zespołu The Cure, który 12 lat temu razem z kolegami nagrał piosenkę „The lastday of summer”, czyli „Ostatni dzień lata”? Utwór ten rozpoczyna około dwuminutowe instrumentalne preludium, które trwa, trwa i trwa, a my popadamy w coraz głębsze zaśłuchanie. Nagle, ta wyłącznie instrumentalna ucztka zostaje wzbogacona o kolejny element – Robert Smith zaczyna śpiewać. A jak już zacznie to... to robi się człowiekowi „pięknie smutno”, a wyobraźnia przywołuje obrazy wydarzeń, czasów i ludzi, którzy nigdy już nie powrócą. Czy zatem smutek może być piękny? Oj może...

BB

### The Cure “The lastday of summer” (Album “Bloodflowers” 2000)

#### „Ostatni dzień lata”

Nothing I am  
Niczym jestem  
Nothing I dream  
Nic o czym marzę  
Nothing is new  
Nic nie jest nowe  
Nothing I think or believe in or say  
Nic o czym myślę, w co wierzę, czy mówię  
Nothing is true  
Nic nie jest prawdziwe  
It used to be so easy  
To było takie łatwe  
I never ventured  
Nigdy nawet nie próbowałem  
Yeah it used to be so easy...  
Tak, to było takie łatwe...  
But the last day of summer

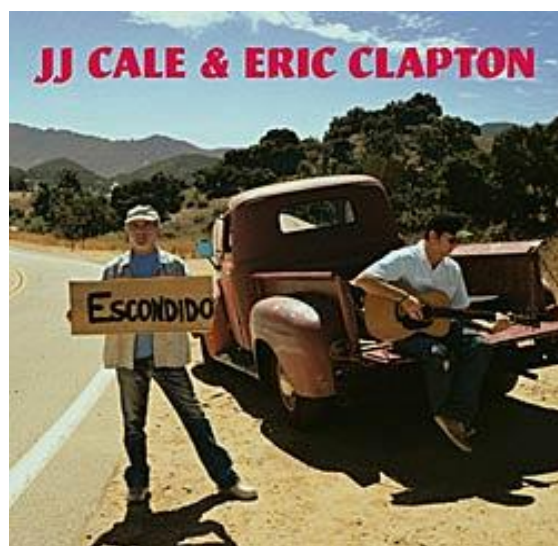


Ale ostatniego dnia lata  
Neverfeltsoold  
Nigdy nie czułem takiego zimna  
The lastday of summer  
Ostatniego dnia lata  
Neverfeltsoold  
Nigdy nie czułem się tak stary  
Neverfeltso...  
Nigdy nie czułem się tak...  
All that I have  
Wszystko co mam  
All that I hold  
Wszystko czego się trzymam  
Allthatiswrong  
To wszystko jest niewłaściwe  
All that I feel for or trust in or love  
Wszystko co czuję, czemu ufam i co kocham  
Allthatisgone  
To wszystkoodeszło  
It used to be so easy  
To było takie łatwe  
I nevereventried  
Nigdy nawet nie próbowałem  
Yeahitused to be soeasy...  
Tak, to było takie łatwe...  
But the last day of summer  
Ale ostatniego dnia lata  
Neverfeltsoold  
Nigdy nie czułem takiego zimna  
The lastday of summer  
Ostatniego dnia lata  
Neverfeltsoold  
Nigdy nie czułem się tak stary  
The lastday of summer  
Ostatniego dnia lata  
Neverfeltsoold  
Nigdy nie czułem takiego zimna  
Neverfeltso...  
Nigdy nie czułem się tak...



## Płyty znane i nieznane na wakacje

Płyta, którą polecam do słuchania w wakacyjny czas, to „The Road to Escondido”. Została ona nagrana w 2006 roku przez dwóch muzycznych weteranów i przyjaciół zarazem – Erica Claptona i JJ Cale'a. Pierwszego z muzyków nie trzeba nikomu przedstawiać. Eric Clapton to legenda rocka i bluesa. Jeden z najbardziej utalentowanych gitarzystów świata. JJ Cale natomiast jest głównie znany miłośnikom country rocka i country bluesa oraz wielu muzykom, którzy czerpali inspiracje z jego twórczości. Słynny utwór „Cocaine” grany wielokrotnie przez Erica Claptona to kompozycja właśnie JJ Cale'a. Jego charakterystyczny sposób gry na gitarze wpłynął na to, jak gra choćby Mark Knopfler, lider nieistniejącego już (niestety) zespołu Dire Straits.



Najbardziej charakterystyczną cechą „The Road to Escondido” jest płynący z niej spokój i harmonia. Słychać, że obaj Panowie bardzo się lubią, szanują i co najważniejsze, czerpią ogromną radość ze wspólnego muzykowania. Oni nie muszą już walczyć o milionowe nakłady płyt, nie muszą tworzyć kolejnych wielkich „hitów”. Takich na tej płycie nie ma. Znajdziemy tu natomiast 14 fantastycznych utworów, które pozwolą nam się odprężyć i przeżyć rock i country bluesową muzyczną podróż. Płytę otwiera dynamiczny „Danger”, a zaraz po nim wybrzmiewa bardzo spokojny, sączący się z głośników „Heads in Georgia”. W podobnym nastroju jest także „Sporting Life Blues”, „Hard to Thrill” i „Who Am I Telling You”. Mój Syn bardzo lubi „Dead End Road” i mówi o nim „kowbojska piosenka”. Ja natomiast wielbię „It's Easy”, „Anyway the Wind Blows” i „Last Will and Testament”. Nie można przejść obojętnie, gdy obaj Panowie zabierają się za stary przebój JJ Cale'a „Don't Cry Sister” (to drugi ulubiony utwór mojego Syna z tej płyty). Całość zamyka wpadający łatwo w ucho „Ride the River”.

Płytę „The Road to Escondido” słucha się bardzo dobrze zarówno w samochodzie, jak i w domu. Jest to solidne męskie gitarowe granie dwóch dobrze „zestrojonych” ze sobą przyjaciół, którzy przy okazji w swoich tekstach opowiadają kilka ciekawych historii. Ponadto towarzyszą im tacy muzycy jak między innymi John Mayer czy Taj Mahal. Jednym słowem palce lizać.

BB

***„Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie”***

***Z cyklu - O polskich wynalazcach i odkrywcach:***

***„Jan z Kolna – Polak, który odkrył Amerykę przed Kolumbem”***

**Kto pierwszy odkrył Amerykę?**

„Jak to kto?! Krzysztof Kolumb!” – pomyśli zapewne niejeden z nas, ale czy tak było naprawdę? A może jakiś inny odkrywca uprzedził słynnego żeglarza i przed nim dotarł do jeszcze wtedy nieznanego lądu? Może nasz rodak...

**...Nasz rodak z Kolna.**

Kolno jest miastem należącym do obszaru „Zielonych Płuc Polski”, położonym w północno – zachodniej części województwa podlaskiego. W 2009 roku miejscowość ta liczyła 10 864 mieszkańców, a Roku Pańskiego 1435 urodził się tutaj Jan z Kolna (notabene). Chociaż nie ma pewności, co do pochodzenia Jana, to na światowej arenie przeważają głosy za tym, iż był on Polakiem. Przyznają się ponadto do niego Norwegowie, Duńczycy, a nawet Portugalczycy.

Johannes Scolnus (zwany także w kronikach Michałem Kapronem) pobierał nauki na Akademii Krakowskiej, co potwierdza spis studentów z 1455 roku, w którym można odnaleźć jego nazwisko. Pochodził z zamożnej rodziny, mającej wielu znajomych marynarzy w Gdańsku, dzięki czemu rozpoczął żeglowanie. W owych czasach panowała duża konkurencja wśród pływających na statkach, gdyż gdańscy kupcy posiadali ponad 600 takich jednostek obsługiwanych przez marynarzy z całej Europy. Docierały one nawet na Islandię, ponieważ Gdańszczanie dzierżawili ten teren od norweskiego rycerza. Pomimo tych niedogodności Jan z Kolna okazał się wkrótce tak wprawnym żeglarzem, że został przyjęty do służby na statku króla Danii, Szwecji i Norwegii – Christiana I Oldenburga.





## Kapitan

Dzięki swej determinacji, znajomości żeglugi oraz niezwykłym umiejętnościom współpracy z marynarzami i kapitanami innych statków Jan został kapitanem, a konkretniej pilotem rejsów królewskich statków na Islandię oraz Grenlandię. Jednak cały czas ciągnęło go do wypływania na dalsze, nieznane wody, do odkrywania nowych ziem. Uzyskał zgodę na realizację swoich marzeń od admirałów królewskich Pininga i Pothorsta, którzy pozwolili Polakowi zabrać na statek norweskich marynarzy nielekających się niczego. Jan z Kolna wyruszył więc na Grenlandię, gdzie uzupełnił zapasy, a następnie obrał kurs na zachód.

### „Na krańcu świata”

Najwcześniejsze wzmianki o Janie z Kolna pochodzą z II połowy XVI wieku, zaś najstarsze pisemne doniesienie odnajdujemy w dziele Lopeza de Gomara z 1553 roku. Jednak to w 1570 roku francuski kronikarz Francois de Bellefores podał polskie pochodzenie odkrywcy oraz opisał jego wyprawę, wyprawę na przysłowiowy „kraniec świata”, którym okazała się Ameryka: *Aby się nie zdawało, że zbyt przypochlebiam się swoim ziomkom i daję pstryczka w nos historii... chcę zgodnie z prawdą ukazać, komu należy się sława odkrycia tego kraju borealnego (Labradoru); nie przysługuje ona Hiszpanowi, Portugalczykowi ani Francuzowi, gdyż to Polak Jan z Kolna dotarł tam już w 1476(...).*

Nie tylko wyżej wspomnieni opisywali wyprawę polskiego żeglarza, uczynił to również flamandzki kronikarz Korneliusz Bellefores w 1599 roku wymieniając w swoim dziele osiągnięcie wybrzeży Ameryki Północnej przez Jana z Kolna. Później, już w XVII wieku Pontatus, Morisot, Horn, Coronelli oraz inni badacze pisali o dokonaniach odkrywcy. Warto wspomnieć, że dokładniej opracował je polski historyk Joachim Lelewel, a mówił o Janie m.in. w „Historii geografii i odkryć” z 1813 roku: *„Jan Szkolny (Scolnus) - Polak, wraz z Krystianem - królem duńskim, w roku 1476 odkrył cieśninę Anjan i ziemię Laboratoris (Labrador), będąc trzecim z Europejczyków, co Amerykę odkryli przed Kolumbem.* Kilka lat później ten sam badacz sprostował nazwisko żeglarza: *Odkrycie to 1476 r., Jana Scolnus przyznaję Janowi z Kolna czyli de Colno. Polakowi z małego miasta mazowieckiego Prusom pogranicznego.* Opracowanie polskiego historyka dotyczące właśnie Jana z Kolna docenił znany niemiecki geograf Aleksander Humbolt.

### „Wiatr od morza”

Sam Stefan Żeromski w swoim utworze „Wiatr od morza” opisał Jana z Kolna. Według autora był to bardzo wysoki, szeroki w barach mężczyzna, wręcz potężny. Zarówno zimą jak i latem chodził w rozpiętej na piersiach koszuli, bez nakrycia głowy, którą porastały długie, gęste włosy. Jego nogi przyodzabiały długie po pachwiny, skórzane buty. Mróz, ani deszcz nie były mu straszne.

To tylko niektóre z elementów opisu naszego nieustraszonego odkrywcy, który podobno podarował królowi Christianowi bryłkę złota z Półwyspu Labrador jako dowód swojej obecności na tymże terytorium (świadczyć mają o tym archiwa Sztokholmu). Inną opowieścią, nie wiadomo czy prawdziwą, jest spotkanie przed śmiercią w 1484 roku Jana z Kolna z Krzysztofem Kolumbem, w wyniku czego nasz odkrywca miał przekazać dokładne informacje o swojej wyprawie.

### Jan przed Krzysztofem

Jan z Kolna w 1476 roku odkrył Amerykę Północną, zaś w 1492 roku Krzysztof Kolumb dopłynął do jej wybrzeży, widać więc, że to Polak pierwszy dotarł do nieznanego dotąd lądu, ale czy na pewno? Nie, to nie Polak, choć był jednym z pierwszych. Już około 1000 roku dotarli do tych ziem wikingowie: Leif Erikson i Dali, zaś w 1390 roku podobno przybyli tutaj weneccy żeglarze Mikołaj oraz Antonio Zeno na rozkaz króla Zichini.



Chociaż odkrycie Jana z Kolna nie jest tak znane jak wyprawa Krzysztofa Kolumba, to nie trzeba się trapić, ponieważ jeśli badacze pobiorą DNA od Władysława Jagiełły, ojca Władysława III Warneńczyka, który jednak mógł przeżyć bitwę pod Warną i okazałoby się, że Krzysztof Kolumb był jego synem... to moglibyśmy mówić o Polaku - „Krzysiu Kolumbowski” ☺.

Wykorzystano:

<http://www.wrzeslaw-legends.yoyo.pl/jk.html>

<http://www.umkolno.pl/76,jan-z-kolna.html>

<http://www.umkolno.pl/77,polozenie.html>

<http://www.umkolno.pl/79,kolno-w-liczbach.html>

Zdjęcia pochodzą ze stron:

<http://www.umkolno.pl/76,jan-z-kolna.html>

<http://www.krzysztofokolomb.info/santa-maria.html>

Katarzyna Strzymińska ☺

Leśnictwo rok III



Drodzy czytelnicy!

Wasza zaufana i nieomylna Wróżka Gertruda wita serdecznie w wakacyjnym wydaniu Młodnikowego horoskopu. Już na wstępie pragnę zaznaczyć, że w tak piękny, letni okres nie ma miejsca na pesymistyczne wróżby – kiedy świat dookoła tętni życiem i pozytywną energią. Jednocześnie przypominam, że wszelkie pytania możecie kierować pod adres [gertrudawrozka@o2.pl](mailto:gertrudawrozka@o2.pl).

### **Sosna 19 IV – 13 V**

Sosny pokochają słońce, upały i wakacyjne wypadki ze znajomymi. To wymarzony czas na zawieranie nowych znajomości, dobrą zabawę i spełnianie podróżniczych marzeń. Kto w końcu lepiej adaptuje się do zróżnicowanych warunków, niż sosny?

**Miłość:** to dobry czas na zmiany.

**Praca:** raczej nie ma na nią czasu.

**Zdrowie:** w najlepszym porządku.

### **Modrzew 14 V – 19 VI**

Modrzewie skorzystają na letniej pogodzie najbardziej. Wasze wyciągnięte w górę korony ogarnie żar lipcowego słońca, dostarczając coraz to nowszych pomysłów na zabawę i przygodę. Pozostałe drzewa, skupione pod waszymi pniami z ochotą przyczynią się do realizacji każdego nowego planu.

**Miłość:** warto czasem spojrzeć pod nogi.

**Praca:** świetny czas na kreatywne myślenie.

**Zdrowie:** nic tak nie poprawia samopoczucia jak spacer w pogodny dzień.

## Jodła 20 VI – 20 VII

Na całe szczęście kochające cień jodły znajdą wsparcie u okolicznych sąsiadów. Wasze wesołe podejście do świata udzieli się w towarzystwie, a wakacyjne imprezy z waszym udziałem – nawet te w domowym zaciszu – przejdą do historii jako niezapomniane przeżycia.

**Miłość:** przychodzi z nienacka.

**Praca:** nie ma potrzeby.

**Zdrowie:** można na jakiś czas zapomnieć o zmartwieniach.

## Świerk 21 VII – 9 VIII

Świerki to najczęściej zapaleni podróżnicy – nawet jeśli w konkretnym przypadku dotychczas tak nie było, w tym sezonie zapragniecie odmiany. Zew przygody i poznawania nowości weźmie górę i już niebawem znajdziecie się na szlaku. A co może zdarzyć się po drodze? Tego nawet jasnowidzące oko Gertrudy nie jest w stanie ogarnąć.

**Miłość:** na szlaku tylko przelotne romanse.

**Praca:** będzie potrzebny dłuższy urlop.

**Zdrowie:** pamiętajcie o witaminach i konserwach.

## Dąb 10 VIII – 15 IX

Kto powiedział, że w wakacje koniecznie trzeba szaleć i bawić się hucznie do upadłego? Dęby odnajdą szczęście w zadumie i pokochają zaciszne zakątki nad urokliwymi jeziorami bądź rzekami. Co więcej, owoce waszych samotniczych wypadów przejdą najśmielsze oczekiwania.

**Miłość:** na razie jedynie platoniczna.

**Praca:** możecie być pewni – przedumane godziny nie pójdą na marne.

**Zdrowie:** co złego może się stać, skoro praktycznie się nie ruszacie?

## Buk 16 IX – 30 X

Znajdzie się wielu, którzy docenią rzucany przez was cień. W najgorętsze dni bez wątpienia będziecie opoką dla tych, którzy szukają spokoju i wyciszenia w dobrym towarzystwie. Co więcej, wasze sezonowe przysmaki prosto z rusztu będą się cieszyć coraz większym uznaniem.

**Miłość:** przez żołądek do serca.

**Praca:** dlaczego nie?

**Zdrowie:** uważajcie rozpalając grilla.



### Czeremcha 31 X – 22 XI

Nie ma lepszego czasu dla czeremchy niż wakacje. Huczne zabawy i dziesiątki znajomych – to w końcu wasz żywioł. Możecie być pewni, że znajdzie się okazja by dać upust potrzebie zdrowego szaleństwa, by na moment zapomnieć o wszystkim dookoła.

**Miłość:** spontaniczna i ulotna.

**Praca:** raczej wcale.

**Zdrowie:** nie ma czasu chorować.

### Leszczyna 23 XI – 29 XI

Dla leszczyn lato jest czasem na poprawienie nadszarpniętego zdrowia i kondycji fizycznej. Skupcie się na sobie, dajcie sobie każdego dnia chwilę na regularny trening, a niebawem będziecie bardzo zadowoleni z efektów. Warto również pomyśleć nad zmianą diety.

**Miłość:** w tych sferach raczej spokojnie.

**Praca:** nie forsujcie się.

**Zdrowie:** w zdrowym ciele zdrowy duch.

### Orzech 30 XI – 17 XII

Może się okazać, że ktoś będzie chciał wykorzystać wasze silne ramiona do swoich celów. Nie miejcie mu tego za złe, przyjdzie czas, gdy i wam przyda się odrobina wsparcia. Przy okazji może się nadarzyć okazja do poznania nowych, interesujących osób.

**Miłość:** należy zwrócić uwagę na nowo poznane osobistości.

**Praca:** bez zmian.

**Zdrowie:** pomagając innym, nie zapominajcie o sobie.

### Klon 18 XII – 18 I

Lato w mieście też jest piękne, jeśli potrafi się odpowiednio patrzeć. Wielu z was doceni w tym sezonie uroki skąpanych w słońcu ulic i ustronnych kawiarni. Pamiętajcie, że nie ma lepszego miejsca na nawiązanie niespodziewanych znajomości, niż bary i kafejki.

**Miłość:** tuż za rogiem.

**Praca:** byle nic wymagającego.

**Zdrowie:** dopisuje na każdym kroku.

## Żywotnik 19 I – 15 II

Czas spędzony w ogrodzie bynajmniej nie jest w wakacje zmarnowany. Żywotniki będą rozkoszować się smakiem grillowanych specjałów i do woli cieszyć się z chwil przy ogrodowym stole na działce czy przy domu. Może warto odnowić stare znajomości i zaprosić na wieczór kogoś, z kim dawno nie mieliście kontaktu?

**Miłość:** stara, wcale nie rdzewieje.

**Praca:** nic lepszego od pracy fizycznej.

**Zdrowie:** nie powinno być problemów.

## Jabłoń 16 II – 11 III

W sezonie letnim jabłonie okażą się wyjątkowo płodne – niestety wróżba nie wyjaśnia kwestii natury owej płodności. Niezależnie od tego, odpowiednio wykorzystując sytuację możecie dużo zyskać. Zwróćcie uwagę na pobliskie sosny lub jodły, mogą okazać się niezwykle pomocne.

**Miłość:** często w parze z płodnością.

**Praca:** czeka cię dużo twórczego wysiłku.

**Zdrowie:** nie zwracaj uwagi na drobnostki.

## Wiąz 12 III – 18 IV

Wiązy zapragną wyjazdu w jakieś ustronne, mało popularne miejsce, gdzie znajdą czas dla siebie. Paradoksalnie, istnieje duże prawdopodobieństwo poznania intrygującej osoby podczas takiej właśnie podróży. Wypatrujcie orzecha bądź czeremchy.

**Miłość:** nadchodzi z nienacka.

**Praca:** przyda się odpoczynek.

**Zdrowie:** czasem warto wyjść na słońce.